

Andrzej Kantecki\*

## Muzyka: ukryte związki między życiem i naturą

Pisać o muzyce jest jak tańczyć o architekturze – to zdanie znane z bezsilności języka w opisie wielu, zwłaszcza zmysłowych wrażeń, niech będzie zaproszeniem do refleksji nad poszukianiem związków między sztuką dźwięków a naturą i życiem. Cel śmiały, pełen pokory wobec tyłu mistrzów słowa, łamiących pióra na niedostępnych klifach muzyki, szczególnie kiedy sprawę trzeba załatwić na kilku stronach.

Na początek ton osobistej refleksji – jest rok 1977, mamy z kolegą po 19 lat. Kraków, szkolna wycieczka, czas wolny, dwie godziny do odjazdu autokaru. Siedzimy w kawiarni, w tle Wawel, siąpi deszcz, chłodny październik, w radiu Maryla śpiewa „autobusy pochłapane deszczem”. Kolega mówi: „Zastanawiam się, co będziemy robić za dwadzieścia lat?”

Zdarzenie błahe, ale dlaczegoś pamięć uczepliła się właśnie tego skrawka i przypomina to już wiele razy jaskrawo i wyraźnie – jakby robiła psikusa. I na tym polega życie w napełnianiu pamięci wiedzą i wrażeniami. Bywa wiedza praktyczna i przydatna oraz bezinteresowna ciekawość, lecz są jeszcze uczucia, doznania, jakości zmysłowe; to jest nasz ludzki atut w konkurencji ze sztuczną inteligencją. Będzie się rozwijać, jednak nigdy nie zachwyci się Bachem ani Beatlesami, nie zanurzy się w różowym brzasku wschodzącego słońca, nie wyczuje wiatru odwilży w marcowy poranek.

---

\* Andrzej Kantecki, znawca muzyki klasycznej.

Chcąc nie chcąc gromadzimy na dniu pamięci wszystkie te wrażenia, tam się sadowią w oczekiwaniu na właściwy moment. Wystarczy niewielki impuls, przymrozek i pierwsze skrobanie szyć w październiku, żeby pomyśleć, że to już mija rok, bez egzaltacji, chłodno, bo do pracy. Nasze życie emocjonalne wypływa z wielu źródeł, a jednym z nich jest czas i jego bieg podległy nieodmiennym rytmom natury. Teraz ten związek jest nieco rozluźniony, podczas gdy w dawnych wiekach był nierozzerwalny.

Wracamy do muzyki. Jej głównym wyróżnikiem jest niematerialna natura i przemijalność, niejako prezencja płynącego czasu – pierwsza i nie jedyna analogia z życiem. Można to odczuć intuicyjnie, podobnie jak harmonijne proporcje złotego podziału; nie musimy mierzyć i patrzeć na zegarek, w architekturze widzimy to jednym rzutem oka, tutaj – jednym „przewietrzeniem” uszu. Tak się składa, że płynący czas w naszych odczuciach jest relatywny, przepływ zdarzeń bywa chaotyczny, są dłużyzny, na przykład w kolejce do lekarza. Jest miejsce na szarżyznę, banał, są też chwile piękne. Może tak się zdarzyć, że w codziennej krzątaninie, w wypełnianiu obowiązków, w ciągłym pośpiechu możemy tego nie dostrzec. Bo czujność nasza, czyli znana z filozofii Wschodu uważność, jest wyłączona, uśpiona, a to jest ta zdolność do skupienia uwagi na tym, co się dzieje tu i teraz. Często nasze „ja” błąka się między tym, co już było, a tym, co będzie. Tymczasem teraz – „teraz” zostawiamy w zanedbaniu. Z tej jakby drzemki z pomocą przychodzi muzyka, która może nas wybudzić jak ze snu.

Są ludzie odporni na jej przemożną siłę oddziaływania i świetnie sobie bez niej radzą. Jest równie potężna armia słuchaczy, którzy nie potrafią sobie wyobrazić bez niej życia. „Czym jest muzyka” – pytali kompozytorzy, filozofowie, poeci; pytał Ludwik Jerzy Kern. I przyznał: „Nie wiem. Może po prostu niebem, z nutami zamiast gwiazd”. I zaraz dodał:

„Wszystko, jak ktoś orzekł, muzyczne ma podłoże, nawet księżycyca blask”. I tego się trzymajmy. Pomińmy zawile dla amatorów, choć jasne dla muzyków, pojęcia. Najważniejsze, że muzyka przemawia: początek „Sonaty księżycowej” czy kilka taktów przeboju Abby wywołują uśmiech natychmiast, bez względu na szerokość geograficzną i pomieszanie języków. Muzyka przez ostatnie dziesięciolecia stała się dzięki ekspansji mediów otwartym sezamem, dla wszystkich dostępnym, stanowiąc, choć brzmi to patetycznie, fundament emocji.

Jest przy tym niesamowicie konkretna. Kiedy wypowiadam słowa: czarujący uśmiech kobiety – każdy wyobraża go sobie inaczej, właściwie przypomina z setek zapamiętanych uśmiechów. Język okazuje się skromnym medium do wyrażenia natury emocji, dlatego najwierniejszy rysopis nigdy nie zastąpi fotografii w paszporcie. Natomiast temat symfonii g-moll Mozarta czy początek koncertu b-moll Czajkowskiego są tym, czym są, niczym innym: czystą abstrakcją.

Nieliczne przykłady imitowania dźwięków z natury funkcjonują na zasadzie wyjątków od reguły. Cały nasz świat wypełniają dźwięki. Słyszymy śpiew ptaków, huk piorunów, plusk deszczu, dawniej wycie wilków. Niektórzy z nas na pewno pamiętają, jak w kaflowym piecu piszczy bieda. Te dźwięki to w istocie sygnały natury, zwiastuny wydarzeń: szum wichru – burza, tętent koni – „kurna Tatarzy”, można sobie nawet wyobrazić ten lęk, strach mieszkańców z wiejskich podleśnych sadyb.

Może stąd dziedziczymy od prawieków szczególną wrażliwość na dźwięki. Przecież nie wszystkie są zwiastunem czegoś groźnego, wręcz przeciwnie, choćby szmer strumyka, głos kukułki, kumkanie żab czy brzmienie instrumentów. Wystarczy posłuchać ciepłych wyrazistych tonów klarnetu albo wiolonczeli w niskich rejestrach; jest to czysta jakość zmysłowa, jak błękit nieba czy zapach konwalii.

Muzyka jest abstrakcją podobnie jak cień woskowej figury podczas andrzejkowej zabawy, kiedy nasza imaginacja próbuje odnaleźć znajome kształty. Podobnie ona, choć rodzi się przez melodię, harmonię, tempo, dynamikę i rytm pozostaje czystą formą, urobioną w wyobraźni według zdobytego w życiu duchowego bogactwa i wrażeń. Przecież gromadzimy w sobie zachody słońca, mgły poranne, jesienną przeprowadzkę liści i ponurą słotę, w niezliczonych niuansach, ale są jeszcze złożone emocje, na które brakuje określeń, więc pozostają proste substytuty: żale, smutki i nostalgia.

Język jest horyzontem naszego postrzegania, wyznacza granice świata, muzyka pogłębia sferę naszych emocji, dlatego tak w wielu krajach przykłada się wielką wagę do edukacji muzycznej. Można zaryzykować twierdzenie, że rezonuje w nas wedle dyspozycji psychicznych i wrażliwości nabytej z otaczającego świata.

Muzyka jest otwartą formą uczuć, strukturą emocji, niosąc w sobie podobne wzorce ruchu i spoczynku, napięcia, odprężenia, pobudzenia oczekiwania i spełnienia.

Dlatego istnieje tak silny związek między aktem twórczym a naturą.

Absolutny klasyk – „Cztery pory roku” Vivaldiego – powstał trzy wieki temu, przeleżał je w zapomnieniu, nim stał się bezsprzecznie największym hitem w liczbie płytowych nagrań. To arcydzieło znalazło pożywkę w przyrodzie, w rozkreconym kołowym czasie.

Jednak tak naprawdę ścisły sojusz między muzyką a przyrodą zrodził się w epoce romantyzmu. Artyści zdecydowanie zareagowali na potęgę natury, nie tylko malarze kreujący ją wpierw w mrocznych, złowrogich nastrojach, jako siłę bezwzględna i nieprzyjazna, często wśród ruin podkreślających znikomość egzystencji. To w otwartej księdze natury bezpośrednią inspirację znaleźli Beethoven, Schubert, a później Mahler. Wiązało się to z panteistycznym odczuciem

istnienia. Kontemplacyjny podziw był rodzajem szczególnej religijności Beethovena, wszakże Bóg jest niepoznawalny, dostępny zmysłom pozostaje tylko poprzez świat, który stworzył; zachwyt i poznanie Jego dzieła jest formą adoracji równie istotną jak modlitwa.

Był bezbronny wobec natury. Widywano go na długich spacerach, które przeszły do historii, a wychodził bez względu na pogodę, często jeszcze przed świtem, aby wypatrzeć wschody słońca, przebłysk światła wśród gałęzi drzew i kropel rosy. Odizolowany postępującą głuchotą od ludzi, ale nie od świata, posądzany o mizantropię, chłonał przyrodę całym sobą. Jedną z jego specjalności była technika wariacyjna rozwinięta do granic perfekcji. Zaskakuje już sama specyfika błyskotliwych tematów z dyspozycją na przeobrażenia, a przecież to nie tylko rzemiosło, to także polot, który zawdzięczał być może odkrywaniu sekretów natury, niuansowaniu szczegółów w jej niezmiernym przelotnym bogactwie.

Nie wszyscy kompozytorzy inspirowali się przyrodą. Nic nie wiemy na ten temat o Mozarcie ani o Bachu, nie znajdujemy śladów tego w korespondencji, lecz nie możemy wykluczyć, bo akt twórczy jako bardzo osobisty często jest okryty tajemnicą, tym bardziej że inspiracja może być bezwiedna.

Wystarczy sprzyjająca aura, trochę gwiazd i powiew powietrza przez uchylone okno, żeby znaleźć twórczy impuls. Dlatego trudno oprzeć się pokusie wyobraźni, wracając do Vivaldiego: oto wybiega z gondoli, z grzywą rozwianych na wietrze włosów, udaje się kilka uliczek dalej, do Ospedale della Pieta, żeńskiego sierocińca. Z wychowanek, podrzuconych przez okno życia, stworzył najlepszą w Europie, najlepszą w swoich czasach, kobiecą orkiestrę. Ognisty temperament podkreślony nie tylko rudą czupryną, bo i zadumą rozlewnych tematów, pośród kontrastów dynamicznych, w odległych skokach interwałów, w pulsującej życiem chwiejnej rytmice – temperament południa – Italia, i to wyjaśnia wszystko.

Na moment zatrzymamy się przy Brahmsie i jego „Kwintecie klarnetowym”. Dzieło, choć nie naznaczone tytułem, wywołuje u słuchaczy skojarzenia zbliżone z jesienną melancholią, są to jednak wrażenia złudne. Melancholia wszak jest zawieszeniem świadomości, odrętwieniem, stanem bezruchu, a tutaj trwa nieustanna koncentracja, pełna wspomnianej wschodniej uważności, żeby nie uronić żadnej chwili i niczego nie przeoczyć.

Jesień ma wszakże smak dojrzałych owoców, urok złota i czerwieni – i o tym to wspaniałe dzieło bezustannie przypomina.